

Dziennik domowy.

ROK 1841.

Poznań, dnia 7. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mąd paryżskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Marzenie było mu życiem.

Powieść przez Stefanią F....

(Ciąg dalszy.)

Już szarzał dzień znacznie, kiedy kolaska sędzię powolnym krokiem mijala smętarz i do wioski się zbliżała. Właśnie do pierwszych dojeżdżała chałup, w tém coś zamajaczyło w dali i pan sędzia ujrzał idącego zwolna Janusza — kazał stanąć, a gdy Janusz się zbliżył, wyskoczył z kolasy.

„A, witam, witam sąsiedzie,“ zawołał z kopyta, idąc spiesznym krokiem do Janusza — „a, cieszę się niewymownie z tego spotkania.“

Tak nagle zagadniony Janusz — zdziwiony wznosił oczy, uchylił kapelusza i z cicha wyrzekł: „Uniożony sługa, ale prawdziwie... ja nie wiem... nie mam honoru...“

„Mało mnie pamiętasz zapewne,“ przerwał mu prędko sędzia „prawda, lata tak prędko mijają, i dopiero spojrzawszy po za siebie, człek widzi, co to pola ubiegł. Byłeś mój panie malém jeszcze chłopięciem — kiedy ja sąsiad wasz i sędzia was znałem.“

„A więc jegomość pan sędzia — cóż pan dobrodziej rozkaże?“ zapytał niecierpliwym Janusz, który inne w tej chwili miał myśli, jak próżną chęć rozmowy z nieznanym sąsiadem. Dopiero teraz spojrzawszy mu w twarz sędzia i ujrzał głębokie ślady żalu na wybladłej i wynędzniałej twarzy; szczerze w tej chwili pożałował młodzieńca, serce poczciwego starca silnie uderzyło współuczuciem smutku, łzy zakręciły mu się w oczach — milczał chwilę zbierając rozrzucone myśli i prawie mimowolnie wyrzekł doń: „I ja znałem twoją matkę!“

Rok drugi.

Zakrył twarz dłońmi Janusz, a dwie łzy potoczyły się po licach jego. Jeszcze on nie wiele znał świata — nie znał jeszcze ludzi, i dla tego téż żalu ukrywać nie umiał.

„I po cóż,“ — mówił dalej sędzia — „mam nieszczerze postępować z tobą? Mówiono mi o twoim smutku, twojej rozpacz, a ja postanowiłem sobie pocieszyć cię i wrócić światu i życiu. Wszyscy mamy rodziców, kto się urodził umierać musi, a Bóg zakazał rozpaczać. Chódź młodzieńcze! płakać z tobą razem będę — ale głos rozsądku musi dojść do serca twój, musisz posłuchać starego, co także nie jedną łzą zapłakał w świecie, a jednak żyje dotąd, i co dnia Bogu za życie dziękuje.“

I tak mówiąc szedł dalej z Januszem ku smętarzowi, bo wiedział, że idzie się modlić. Gdy przyszli do smętarza, sędzia zdjął czapkę, ukląkł i zmówił pobożne pacierze za dusze umarłych, a gdy Janusz znalazł wśród smutku słów kilka, by go do dworu zapraszać, podziękował mu staruszek, a obiecawszy innego dnia go odwiedzić, wsiadł do kolasy i wrócił do domu. Nie chciał on natrętnym być Januszowi — a czuł dobrze, że czas najlepszy balsam — podgoi ranę młodzieńca.

Sędzia dotrzymał słowa — zaraz nazajutrz kolasa jego zajechała przed Janusza dworzec. — Przyjmował go Janusz gościnnie, uprzejmie, a poczciwy staruszek potrafił rozpędzić czarne chmury z czoła młodzieńca i uśmiech na blade usta przywołać. I wrócił go do życia i świata! Janusz był młody, bogaty, mógł się oprzeć słowom, co go do życia wzywały, do życia, które jeszcze tak piękne i kwieciste przed nim się malowało — przed nim, co z żywą wiarą w szczęście i ludzi, wyciągał ręce do wszy-

stkich i radby był jednym uściskiem przycisnąć świat cały do czulego, a niczém jeszcze nie zawiedzonego serca!

III.

Ach! tak, Bóg nas utworzył ku wspólnemu życiu,
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powieciu. —

Mickiewicz.

Był to dzień uroczysty w dworcu sędziego — obchodzono 19tą rocznicę urodzenia jedynej córki jego — hożej i urodziwej Maryi. Licznie zebrali się goście, bo sędzia dobrze częstował, dobre dawał wina, nie szczędził ich wcale, a do tego człek, choć to jeszcze jak nazywali go niektórzy — stariej daty — ale szanowany w obywatelstwie — nieposzlakowanej poczciwości, a nawet i zasłużony w kraju. — Staropolska gościnność przyjmowała tam gości, bawiono się też u niego ochoczo, skocznie, bez żadnych wymysłów ni przymusu. Po obiedzie i częstych toastach goście jedni usiedli do kart, drudzy poszli się przebrać, bo w komnacie gościnnej uprzątnięto ile możności — a na folwark przyjechali grajkowie z bliskiego miasteczka. Młodzież więc miała nadzieję potańczyć, a któż nie wie, że ta nadzieja młode serca radością napawa, a na usta wesela przywołuje uśmiech. Wszyscy więc byli radośni i weseli i nadzieją zabawy i zabawą samą. Krzatali się, biegali, wołali — a dopiero, gdy wieczorem błysły w oknach mnogie światła, a grajkowie przystrajali skrzypki — młodzież i panny wystrojone zebrali się do komnaty. — Mało już widać było staropolskich kontuszów, gdzie niegdzie tylko podtusiały już jegomość świecił jeszcze bogatym pasem i pobrzakiwał karabelą, a choć krzywił nosem na zczudziemczął innych odzież, to dzisiaj o wszystkim zapomniał i wraz z drugimi szczerze się śmiał i bawił. Już też muzyka zagrziała polskiego, a pan sędzia poprawiając pasa i wyloty kontusza zarzuciwszy — pokręcił swego węża i najstarszą wiekiem damę w pierwszą poprowadził parę. Liczne za nim sunęło grono — a on skończywszy wziął znów drugą i trzecią i czwartą, aż też wreszcie skończył powolnego tańca, a muzyka od ucha zagrała mazura. Wnet postawały pary — a w pierwszej córka gospodarza, piękna jak róża Marya. Uśmiech radości był na jej ustach, promyk radości jaśniał w jej oczach i rzekłbyś, że nigdy jeszcze smutek nie zachmurzył białego jej czoła. I ochoczo i radośnie puściła się w taniec, a za nią dwanaście par wesołych skoczno przytupywało. Wśród wesela powszechnego z dala na uboczku siedział zadumany Janusz: czarno ubrany nie mógł w sukni żalobnej wstąpić w koło ubar-

wione rokoszą i strojem. Patrzył na radość powszechną, na szczery uśmiech i rokosz tych ludzi, i sam ze śmiechem na ustach cieszył się ich weselu. Nie zazdrościł im szczęścia, bo on był szczęśliwy ich radością. Patrzył na przyjaźń ich wspólną, patrzył jak wzajem podawali sobie dłonie — jak je ściskali przyjaźnie, i choć sam w tej chwili nie miał komu dłoni swojej podać, cieszył się zgodą i przyjaźnią innych. Marzył o szczęściu ogólném, marzył snem młodości i niedoświadczenia, bo uchowany na łonie matki, nieświadom ludzi ni świata, widział siebie w każdym człowieku i w każdym sercu swoje czuł serce. Z drzewa marzenia swego, na którym złote pozawieszał listki, ni jeden jeszcze nie strząsnął wiatr smutnego i dotkliwego doświadczenia. Wierzył, ufał i marzył szczęściem! A gdy przystąpił do tańczących koła i ujrzał bliżej Maryą — jeszcze mocniej uderzyło serce jej szczęściem i rokoszą, którą patrzyły jej oczy. — O! piękny był mu ten świat, i jak dziecię wprowadzone w liczny skład zabawek, tak on cieszył się tym światem i wszystkiém, co mu się na nim ukazywało.

Marya stanęła obok niego: — »Czemu pan Janusz smutny?« zapytała go, jeszcze zmęczona świeżo przetańczonym mazurkiem.

»Ja smutny? o! nie pani — ja się cieszę szczęściem pani, szczęściem wszystkich; smutne wspomnienia, których pamięć noszę jeszcze w tej żalobnej sukni — nie pozwalają mi łączyć się z gronem tańczących — ale nie mniej czuję ich radość i nią się cieszę.«

»Wszak prawda, panie Januszu, że wesoło się dziś bawimy.«

»Alboż można inaczej się bawić, kiedy gospodarz tak gościnny — a wszyscy goście tak szczerze przyjeści uprzejmością i przychylnością na życzliwe odpowiadają chęci? Wszak to wszyscy razem jakby tylko jedno przyjaciół grono!«

»Wszyscy, panie Januszu! O! daj to Boże, by wszyscy byli naszymi przyjaciółmi; to tak dobrze mieć dużo przyjaciół!«

»Alboż pani możesz ich kiedy nie mieć? alboż ich nie mają wszyscy? — i cóż za powód zresztą, by jeden drugiemu złym był i nieżyczliwym?«

»Ja nie wiem — ale inni ludzie inaczej mówią; nieraz słyszałam skargi i wyrzekania na ludzi — nawet ojciec mój nieraz narzekał na nich.«

»A oni tacy dobrzy się wydają — naprzykład i dla mnie: każdy mnie wita, oświadcza się z przyjaźnią, podaje mi rękę. — O! nie — nie — ci co pani mówili źle o ludziach, musieli się mylić.«

Wtém znów muzyka zagrała i Marya pobiegła do tańca, a Janusza zawołano do drugiej komnaty. Oświadczenia przyjaźni, zapraszania w dom swój — wymówki, że tak mało i tak rzadko się udziela, synęły się gradem na Janusza; on dziękował — obiecywał — przeproszał — a wszystkiemu wierzył i ufał, bo ludzi dobrymi i szczerymi sądził. A były też tam może i szczerze wyrazy; nie jeden chciał go mieć w domu swoim, bo wiedział, że Janusz bogaty — a miał na zbyciu córkę lub siostrzankę: — to znów drugi rachował na jego naukę, by był towarzyszem synowi — inni dla tego, że był z rodziny szlacheckiej, a nadewszystko bogaty — co bardzo a bardzo popłaca na świecie. Mało tam było takich, a może i żaden, coby go szczerą a czystą zapragnął przyjaźnią — co gdyby był stracił majątek i nędzne okryły go łachmany, podałby mu tak jak dzisiaj rękę przyjacielską. Nie jestże więc wszystko teatrem na tym świecie? — nie więcéjże cenią suknię twoją bogatą, niż ciebie — niż twą istotę — biedny człowiecze? Ty się chlubisz sam przed sobą z twój duszy — myśli i uczuć, ale schowaj to przed światem — o duszę twoją nie dba — myśli nie potrzebuje — uczucie zdepcę i w śmieszność okryje; — pokaż mu raczéj wór złota, uklęknie przed tobą. Jeżeli go więc masz, nie troszcz się o nic — jeżeli nie masz, biednyś człowiecze!

Ale Janusz nie wiedział o tém — on marzył snem niewiadomości, a sen ten był swobodny i niewinny, jak życie pierwszych ludzi w raju — kiedy jeszcze drzewo zakazane stało z nietkniętym owocem przed niemi.

»Nie — nie,« mówił sobie w myśli, kiedy znów wracał do komnaty tańczących — »Marya źle słyszała, ludzie są dobrzy, ja ich tak kocham.« I stanął po za kołem tancerzy i okiem ścigał Maryą — jak w skocznym polocie to przebiegała koło niego, to znów od niego uciekała — i patrzył za nią, a jej oczy wesoło spotykały się z wejrzeniem Janusza. Nieraz rozśmiały się doń koralowe usta Maryi, jakby w przelocie chciała mu powitanie przesłać, a on cieszył się tém wszystkiém, i coraz piękniejszym świat mu się malował i coraz piękniejszą wydawała mu się Marya.

A gdy nad ranem ucichła muzyka i tancerze zmęczeni ustali — gdy rozjechali się goście i wspomnienia tylko w ich myślach zostały — Janusz wrócił do samotnego domku i przed matki obrazem dumiał smętnymi ale lubemi myśli, bo w sercu jego tkwiło Maryi wspomnienie i gdzie dotąd tylko samotna pamięć matki mieszkała, przybyło inne jeszcze uczucie. Znał on Maryą i dawniej, lecz dzi-

siaj dopiero ujrzał ją tak piękną i tak mocno uderzyło serce jego dla niej. — Nie tał on przed sobą uczucia swojego, serce jego z zapalem powiedziało »kocham« i całe jestestwo młodzieńca zabrzmiało tém słowem. Teraz stał on przed matką kochaną i mówił jej o Maryi i uczuciu swém dla niej. Czemuż nie żyła ona jeszcze? — do jej stóp byłby przywiódł Maryą — a ona byłaby ich błogosławiła oboje — byłaby Maryą ukochała, bo któżby kochać jej nie musiał — i byłiby tak szczęśliwi i razem w tym domku! — Łzy puściły się z oczu Janusza, — było to jedno marzenie, które nigdy — nigdy ziścić się nie mogło. Matka w grobie spała na wieki, a domek samotny był mieszkaniem sieroty. — Ztamtąd tylko — z po za krainy grobowej ciche i milczące mogła przesłać błogosławieństwo, a przynajmniej o takie błagały łzy Janusza. A gdy spojrział zamgloném okiem na szlachetne choć nieme rysy matki swojej, zdało mu się, że uśmiech aniola na ustach jej osiadł — że wysłuchiwała prośb jego gorących i z tamtej krainy szczęściem mu się śmieje. Padł na kolana, niebiańskiej roskoszy uczucie napęliło serce jego, głośno wyrzekł dzięki matce i długo w modłach pogrążony klęczał przed świętym dla siebie obrazem.

* * *

»Maryo! ja ciebie kocham!« mówił Janusz do dziewicy — gdy samotny z nią w komnacie prze-rwał długie milczenie, i zamilkł znów, a oczy drżącego dziewczęcia w ziemię były spuszczone. — »Maryo! ja ciebie kocham nad życie! — o! popatrz na mnie — zaśmiej się do mnie — ja wiem, że i ja tobie nie jestem obojętny.« — Popatrzała Marya — rozśmiała się do niego i ten uśmiech wspomniął mu matki błogosławieństwo i zwiastował szczęście powtórne. Janusz mówił dalej:

»O! kiedym stracił matkę moją — stary mój Janko radził mi kwiat kaliny na zbolale serce położyć — dzisiaj tym kwiatem leczącym jest dla mnie wejrzenie twoje. — jakiéjże rany nie zgoiłoby twe oko? w czyjeż serce nie przyniosłoby szczęścia?« — I dziewczę raz drugi wzniosło oczy na Janusza, a gdy wkrótce sędzina weszła do komnaty — oboje milczeli, ale w ich sercach było szczęście i rokosz.

Na drzewie marzenia przybył jeszcze jeden kwiat piękny i lśniący — niwa strojna w różno-barwne kwiecie rozwinęła się przed okiem Janusza. — Mógłże nie być szczęśliwy dzieciuch w doświadczeniu, gdy powiew wiatru przyniosł kwiaty bez ciernia w niwę życia jego? — gdy wszystko oddychało dlań szczęściem i weselem, a marzenie utworzyło świat

zaczarowany technieniem nieba samego? — Tak szedł dalej i dalej po kwiecistej łące — a końca jej nie widział, ani nawet w myśli dopuszczał.

Sędzia dobrze widział skłonności Janusza, chciał tylko, by starym obyczajem starał się wcześniej o łaskę i słowo rodziców, i choć wzdychał nad zmianą zwyczajów, milczał jednak i rad był córkę swą oddać pocziwemu człowiekowi, a przytém mającemu i dostatek w domu i poważanie u sąsiadów i klejnot szlachecki w rodzie. Dla tego też nie odmówił mu sędzia, gdy ranku jednego wszedł do komnaty jego sypialnej Janusz i o rękę Maryi upraszał. Pokręcił tylko węża na to, że to tak nagle, bez swatów, bez dziewosłębów, a choć nie śmiał zganić tego młodzieńcowi, nie dał mu od razu przyrzeczenia — i przyjąwszy go uprzejmie te mu odrzekł słowa: »Ależ kochanku! rozpatrzcie się lepiej w sobie — wszak to dawne przysłowie mówi: co nagle, to po diable — a tu dopiero trzy miesiące jak się znacie. — Ja, mój panie, rok cały jeździłem do mojej żony, a dopiero potem wysłałem wujamego śp. p. cześnika, aby oświadczył pokorne chęci moje i pana ojca o rękę córki upraszał. To choć i swat był i wszystko jak należy, jeszcze i tak nie od razu dostałem pannę, bo ojciec cztery miesiące czasu sobie wymówił. Otóż panie Januszu ja sobie trzy miesiące czasu wymawiam. — Marya jeszcze młoda i waść młody — dość czasu macie oboje!«

Janusz się skłonił i wyszedł, a choć nie bardzo mu była ta zwłoka na rękę, jednak był szczęśliwy, bo ojciec prawie mu przyrzekł rękę swęj córki, a o matkę nie troskał się wcale, bo wiedział, że sędzina bardzo go kochała. Mogłaż przeszkoda jaka stanąć w myśli młodzieńca? kiedy on miłując lubę dziewczę nad wszystko na świecie, czuł tylko szczęście swoje, że wzajem kochany jest od niej. — Tak więc biegły dnie i tygodnie, a Janusz niepomyślnie świata całego, żył tylko uczuciem swoim i obok Maryi błogie pędził życie. — Marya, to dziecinnie szczęścia, które dotąd nie znało tylko słodycz życia, której czoła nigdy gorzyc nie schmurzyła jeszcze — wesola i szczęśliwa — śmiejącem okiem na przyszłość patrzyła. — Oboje więc w tej lubej i spokojnej ustroni żyli pod opieką rodziców, którzy z rozkoszą poglądali na ich szczęście.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pomysły o wychowaniu ludów.

I. Nauczycielstwo ludów.

(Ciąg dalszy.)

Ażaliż ludy znają swojego nauczyciela? zapyta kto może, a w to pytanie włoży całą moc krytyki tego, cośmy dotąd powiedzieli, godząc na to przedewszystkiem, że duch bezcielny, niewidomy, z duchem ciała i zmysłów nie może mieć stósunku, jakiego potrzeba między nauczycielem i uczniem; że ludy czczą i miłują Boga, tak jak je religia nauczyła, ale Boga niewidomego nie pojmują; mniéj jeszcze domyślają się nauk, któreby im dawał; a kto nie zna ani nauczyciela, ani nauk jego, jakież tam będzie jego wychowanie? — Tak wszakże może się tylko odeprzeć, kto na wszystko z materyalnego patrzy się stanowiska, komu do nauki potrzeba koniecznie ust, języka, uszu i rąk, który nie pojmuje nauczania bez słów, a słów bez zmysłów; którego wreszcie wiara w duchowość Boga i człowieka jest słaba, i materyalnemi wyobrażeniami nadwątlona. Jeżeli bowiem jest w człowieku dusza nieśmiertelna i téj saméj istoty co Bóg, którego jest technieniem, nie miałyby między Bogiem a człowiekiem być duchowego stósunku? a jeżeli zachodzi taki duchowy związek między Bogiem i człowiekiem, nie musiż ten związek być daleko ściślejszy między Bogiem a ludem, jednym z braci wielkiego rodzeństwa, rozległego rodu ludzkiego, który nie ma innego ojca tylko Boga, i matkę naturę? Skoroć zaś człowiek przeczuwa w głębi duszy swojej Boga, istotę najwyższą, jako stwórcę i pana swego, nie miałyby go przeczuwać ludy, i nie mieć wiary w jego rzady świata? A dosyć na takim przecuciu i na takiej wierze, aby w Bogu widziały swojego przewodnika.

Dość przypuścić i przyznać stósunek między Bogiem a ludem, a już wypada z tego stósunku nauczycielstwo Boga, a uczenictwo ludu. Boć stósunek ów jest stósunkiem podrzędności, a każda podrzędność jest poddanie części pod prawa całości; celu niższego pod cel wyższy, co oraz jest istotą wszystkiego nauczycielstwa. Bóg prowadzi ludy według praw odwiecznych postępowych, i wiedzie je do celów swoich, które z natury Boga nie mogą być inne, jak tylko uszlachetnienie rodzaju ludzkiego. »Bądźcie doskonałymi, jak ojciec wasz w niebiesiach doskonałym jest« — powiada prawodawca nowego zakonu.

Wypada ztąd, że jak ojciec zna dzieci swoje, tak i dzieci znać powinny ojca, i że ludy znają Boga jako nauczyciela swego. Ale ludy są jak ludzic. Dziećmi będąc znają rodziców i nauczycieli swoich, zaś w dojrzałym wieku obywają się bez ich nauk,

acz ich więcej może potrzebują, i po zerwaniu stó-sunków nauczycielstwa zapominają nie raz samego nauczyciela.

Jak dziecię w niemowlęctwie, kiedy jeszcze słuch drzemie, a oko jasności światła znieść jeszcze nie może, a już szuka usteczkami piersi rodzicielki; jak potem, kiedy już ucho pieczyoty matczyne słyszy, a oko w rozradowanem obliczu matki z równem rozradowaniem i z uśmiechem na ustach tonie, dziecina nikogo tyle nie zna, co matkę, karmicielkę; — tak i ludy. W wiekach ciemnoty, natura karmicielka jest dla nich wszystkiem, u jej piersi leżą jak niemowlę u piersi matki, jak ono patrzają się Bogu oko w oko, nie wiedząc, że to Bóg, jak dziecię zrazu nie wie, że to matka jego. W dalszym podroście ludu, kiedy już świat cały wszystkiemi pięknościami w oko im świeci, a głosy całego przyrodzenia do duszy ich słuchem przechodzą, i patrzają się na świetne słońce, księżyc i gwiazdy, na śliczną zielenią ziemi, na śliczniejsze po niej kwiaty, na drzewa i krzewy kształtne i nadobne, na zwierząt i ptastwo roje; kiedy przysłuchują się śpiewom leśnych śpiewaków, szelestowi liści, mruczeniu wód, szumowi wiatrów, albo hukowi grzmotów; — wtenczas lud poznał Boga swego; i nikogo tak nie znał, jak Boga. Dla tego, kiedy już jak w chłopcu przyszedł wiek rozwijania się władz duszy, lud nikogo nie widział, nie pojmował nauczycielem swoim, tylko Boga jednego. I nic nad to nie było naturalniejszego.

Wszystkie dzieje ludów rozpoczynały się od nauczycielstwa Boga. Wszystkie świadectwa historii, wszystkie podania, wszystkie mitologie i kosmogonie są tego nauczycielstwa dowodem. Lud po owe czasy, jak człowiek zły duchem z duchem Boga, stwórcy swego, patrzył się w świat jak w Boga oblicze, a głos natury był mu głosem Boga. Ale to oblicze wkrótce było mu za rozległe, ten głos za utajony; on chciał go mieć stósowniejszym do pojęć zmysłowych swoich, chciał go mieć na podobieństwo siebie, i dla tego mocą wiary żywój w Boga, którego pojmował, znał tak jak syn zna ojca swego, uwidomił niewidzialną istotę ducha jego. I widział go przechodzącego się w raju, słyszał głos, który Kainowi wyrzucał zabójstwo brata Abla, brał nauki w budowaniu arki potopowej, odbierał obietnice dane Abrahamowi, i przykazania na górze Synaj; nareszcie ujrzał Boga przychodzącego na ten świat, z wszystkiemi przymiotami człowieka; Messyasz, przepowiadany od proroków, urodził się wśród ludu, wśród owych mass, aby je nauczył i odkupił.

Ludy, którym nie dane było światło poznania jednego tylko Boga, ale które po rozejściu się na-

rodów odpadły od wiary monoteizmu, jak dzieci ojca nie mające i upatrujące dla tego opieki w ludziach obcych, a każde w innych, ludy takie upatrywały bóstwo najwyższe w różnych postaciach, jako osobnych bogach. Ale i te ludy te same miały co do boskiego nauczycielstwa wyobrażenie. W Egipcie Oziris nauczył lud uprawy roli. Odyn u Germanów pogańskich przyniósł ludowi swemu religię i sztukę pisania. Radegast u Słowian był symbolem gościnności i choty towarzyskiej; u Greków i Rzymian wszystkie nieoledwie nauki, sztuki i rzemiosła od bogów początek swój wywodziły. Bogowie we wszystkiem byli nauczycielami ludów. A jeżeli człowiek nauką, prawami, lub wynalazkiem jakim, stał się dobroczyńcą ludu swego, lud nie pojmował tego inaczej, tylko, że go Bóg jaki tej sztuki nauczył; a on człowiek sam wydawał się półbogiem, i czczono go w takim charakterze. Minos i Radamantus, pierwsi prawodawcy greccy, byli po śmierci sędziami w Orku, i sądzili dusze zmarłych. Wtenczas nawet, kiedy już Sokrates nauczał młodzież uważać nicosić bogów ateńskich, ta sama młodzież nazywała Platona boskim, i Alexander W. uczeń Arystotelesa, jeszcze uwierzył, że mógł być synem Jowisza amonńskiego.

Kapłani i uczeni po owe czasy, było jedno i to samo, a myśl ludu tłumaczyła to sobie tylko na ten sposób, że bliżsi bóstwa, bliżsi byli źródła wszelkiej nauki. Wiara ludu w nauczycielstwo Boga tak była ugruntowaną, że wszystkie ustawy, mianowicie religii się tyżące, tém tylko wyobrażeniem nabierały uświęcenia. Człowiek tu ino był narzędziem bóstwa. Dla tego nietylko Numa Pompiliusz na 700 lat przed Chrystusem podawał ludowi rzymskiemu prawa swoje, jako naukę nimfy Egeryi, ale jeszcze na tyleż lat po Chrystusie lud Arabów uwierzył, że anioł nieba zstępował do Mahometa, i podawał mu przepisy koranu.

Jak skory jeszcze i dziś jest lud wierzyć wszystkiemu, co uważa jako cud, to jest jako bezpośrednie zstąpienie mocy i wielkości Boga na człowieka! Są to ciemne przypomnienia owych wieków, kiedy lud żył w Bogu, i prócz boskiej opieki, boskiego prowadzenia, żadnej innej opieki i żadnego innego prowadzenia nie widział; kiedy do Boga ze wszystkiem, z uczuciami i całą wiedzą swoją się odnosił. — Ani zatem wątpliwości, że były czasy, kiedy ludy znały Boga jako nauczyciela swego.

W dalszym postępie oświaty, kiedy dojrzewa rozum, i człowiek własnego rozumu siłami stać już potrafi, zrywa się ten związek nauczycielstwa boskiego; oświecona część narodu wyłącza się z mass

i nie ogląda się na dawnego swojego nauczyciela; sama sobie wydaje się być wystarczającą, sama sobie radą, nauką, pomocą. — Związek między nią a Bogiem tylko jeszcze religijny i to słaby, a gdyby było w jej mocy, zerwałyby i ten także. Kiedy nareszcie ta część ludu wyniosła rozumem swoim weźmie na się ojczyrne nauczycielstwo mass, i lud także przed widomym nauczycielem niewidomego nauczyciela nie zobaczy, zapomni wówczas, że kiedyś go sam Bóg prowadził, i nie będzie wiedział, że go i teraz jeszcze prowadzi. Tak dziecię otoczone guwernerami, co jego naukowem wychowaniem kierują, zapomina, że rodzice jego byli i są najistotniejszymi jego nauczycielami; że z nich, mimo obcego nauczycielstwa, bierze najważniejszą naukę życia, przykład do dobrego i złego. Nie wpoi tego nauczyciel, czego ojciec i matka w syna lub córkę nie wpoiili. Religia, moralność, miłość ojczyzny, miłość bliźniego, cnoty obywatelskie, tam najsilniejsze mają korzenia, gdzie je człowiek dzieckiem z rodziców wyssał. Ale jak dziecię zapominając, że ojciec jego nauczycielem, nie zapomina, że jego ojcem, tak i lud nie zapomina Boga, jako stwórcę swojego, kocha go, czci i wielbi, i nie pozwala, aby tu rozum ludzki Boga zastąpił; nie człowiek, ale Bóg religią objawił. W religii nienaruszone jeszcze żyje Boga nauczycielstwo. Tą silną wiarą lud połączon jeszcze z Bogiem, i trzyma na uwięzi oświeconą klasę, gdzie rozum wiarę tę podkopał. Tą wiarą ludu były silne i bogi pogańskie; nie śmiano ich posągów martwych skruszyć, choć już mało kto w nie wierzył, i trzy wieki po Chrystusie utrzymywał się jeszcze poganizm. — Zastanówmy się teraz, jak Bóg wychowuje ludy, i jakie są tego wychowania środki.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Ustęp z poematu: »Przyjaciele.«

Przez F. Ły.....

Szczesny.

Zmarłego ludu nieśmiertelne życie

Z zapomnień grobu chceć wydobyć pieśnią,

Wielki to zawód, wielkie pieśń — użycie.

Ale gdy naród jeszcze nie w mogile,

Lecz bliski zgonu opadnie na sile,

Lecz bliski zgonu opadnie na sile,

Zwiędłego wieku porażony pieśnią

Drżenie w letargu: o hańba wam wieszcie!

Hańba niemocy lub pomsta gnusności,

Gdy na pieśń waszą nie odżyją kości,

Krwi nieprzebiegną przesilenia dreszcze,

Serce się tętnem nieozwie wielkości!

Bracia śpiewacy! odnowmy tę dzielność

W pamięci ziomków, którą pokolenia

Weześnie przed nami żyjące dzierżyły.

O! czemuż stamtąd nie doszły nas pienia
Sławiące owych wieków nieśmiertelność?
Pewnieby były loskotne jak wiatry
Słowiańskich lasów, i więcej mówiły
Do nas, niżeli te głuche mogiły,
Co sterczą tęskno od morza po Tatry.
Hej! my poruszmy z tych mogil rycerzy
Pieśnią, jak leśne patykem mrowiska;
Wstąpmy w głąb' ziemi naszej i zwaliska,
Gdzie duch przeszłości swoje skrzydło szerzy.
Gdzie twa mogiła, Chrobry Bolesławie!
Powstań na nogi, a z tobą te ludy,
Z któremiś wielkie podejmował trudy
Ku wiekopomnej ziem Słowiańskich sławie.
Tyś łączył braci, ludzkość cię obeszła,
I z górnych wieków sława twoja przesza
W rychle plemiona, jak wystrzał, gdy w lesie
Wiatr go od jednej w drugą knieję niesie.
Nie temus Wielki, żeś siedział w koronie
Na walnej uczcie, ale żeś na lonie
Narodu twego złożył miecz i księgi:
Znaki mądrości twojej i potęgi.

Widzę cię — tam — tam — w otehlani czasów,
Na skrzydłach sławy, wśród muzyki lasów,
Odziany burzą, pod niebios namiotem,
Słowiańskich wichrów śpiewany loskotem,
Z rozpostartemi szeroko ramiony
Strzelającemi na dwie świata strony,
Na Wschód i Zachód. Tam — olbrzymia postać,
Pragnąca sławą szczytu niebios dostać,
Widzę ją widzę, na oręzu wspartą,
Którego ostrze wielką dziejów kartą;
Duma, do nieba wysyła spójrzienia:
-Co powie przyszłość, ludy, pokolenia? -
I oto stopa na złotem strzemienu,
Blyszczący oręż w wzniesionem ramieniu,
Tam — tam — glos zagrzmiął dziki, piorunowy,
Oeknione tłumy podnoszą swe głowy,
Widzę je widzę, w osłonach mglistych,
Okiem natchnienia, w obłokach przejrzystych,
Powstają z mogil, wdzwiewają pancerze,
Wicher na helmach rozdmuchuje pierze.
Dalej za słońcem! w zachodnie krainy,
W posępne lasy, w prześliczne doliny,
Tam — tam — pod koniem, w niemieckiej zbroicy,
Z krwią skrzeplą w ustach, z konaniem w żrenicy,
Tarza się rycerz, a nad nim w pogoni
Zadawca śmierci, strzałę dzierży w dłoni,
Koral na ustach, niebo w jego oku,
Włos luiany, wiewny jak smugi obłoku,
Syn pierwotny Słowiańskiej ziemiicy,
Wielkiego serca, i dzielnej prawicy.

Na czeskiej ziemi nocą psisko wyje,
Po Czeskim liściu waz krwawy się wije,
Na Czeskim niebie czarne wiszą chmury,
Strachem Olbrzymie pokryły się góry,
Plomień żre grody, wniwecz plony kłosa
Okrzyk zwycięstwa bije pod niebiosa.

Wiatr, wiatr powstaje, niebo Lackie chmurzy,
 Wschód się czerwieni płomieniami burzy.
 Dalej pod słońce! za błyskiem oręża
 Wyniesionego ponad głowę meża
 Chrobrego umu, w miodowe krainy,
 W dzikie ogrody, w czorawne dziedziny,
 Dalej pod słońce! — wstają siola, grody,
 Ciągna, łączą się, wzrastają w narody,
 Tam — tam — pod miastem opasanem murem
 Tłum wojowników grzmi piorunnym chorem,
 Widzę ich widzę, na stósach kamieni
 Stoją zwyciężkośród krwawych strumieni;
 Tam — tam — dźwięk zabrzmiał groźnego przymierza,
 Bolesław mieczem o bramę uderza;
 Widzę go teraz, jakby w kraju wiecznym,
 W obłokach światła, z obliczem słonecznym.
 Jeszcze go widzę gdzieś nad brzegiem rzeki
 Dęba, co przetrwał i trwać będzie wieki,
 Stoi zwycięzca, a na dole karki
 Ponaginane i żylaste barki,
 Biją młotami o żelazne słupy,
 Toną w głąb nurtów, wrą pienne chlupy —
 Widzę go jeszcze ze zgiętem kolanem,
 Wielki mąż świata korzy się przed Panem,
 A z góry z niebios złoty anioł splywa,
 Miecz daje w dlonie, do czynów wyzywa —
 Widzę go jeszcze — na licach słuchaczów,
 Słyszę w krwi biciu i w pieśniach oraczów,
 W muzyce ptasząt, i w dźwiękach strumiennych,
 W gaworach dębów, w żalach jodel ciemnych,
 I w szumie wichrów, co w Słowiańskie lasy
 Bijąc, śpiewają upłynione czasy.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Przed licznym zgromadzeniem dany tu został przez amatorów muzyki koncert w dniu 2. Lipca, z którego dochód ma być przeznaczony na cel dobroczynny. Jakkolwiek doprowadzenie koncertu tego do skutku zrazu trudnym się wydawało, jednakowoż dobra wola i wiele rozsianych a ukrytych talentów w naszej prowincji w zawodzie muzycznym ułatwiły jego wykonanie. Zawdzięczamy więc wieczór ten najmiliej podczas doby terażniejszej Śto-Jańskiej spędzony i wytrwałości przedsiębiorcy i dobrym chęciom osób udział w nim biorących. Żałować jednak wypada, iż nie częściej zdarzają się podobne przedsięwzięcia. Trudność ta najwięcej ztąd pochodzi, że nie masz towarzystwa muzycznego, w którymby talenta naszych rodaków mogły się częściej kształcić i brać swe ostateczne wykończenie. Ważnym jest przecie to duchowe wykształcenie, które w głos, w brzmienie, w śpiew i harmonią się ulewa, i tak wdzięcznie do serc przemawia. Są ku temu zdolności, jest i skłon-

ność do pielęgnowania muzyki, która w życiu duchowem znakomite zajmuje miejsce, lecz potrzeba zaczątku, potrzeba zcentralizowania, zespolenia tych rozsianych po prowincyi talentów, aby coś stałego, trwalszego utworzyć. A jak łatwo ku temu, najlepiej przekonywają talenta, które na koncercie, czy w śpiewie, czy w grze na instrumentach zajaśniały! Odśpiewany polonez z Purytanów Belliniego, romans z opery Guido i Ginevra przez Halevy, powszechny, mimowolny, a serdeczny zjednały poklask publiczności. Podobała się też aria z chórem z Hugenotów Meyerbera, a na instrumentach, ballada Chopena na fortepianie wykonana i wspomnienie Gdańska Lipińskiego na skrzypcach. Orkiestra oprócz tego odegrała dwie uwertury, w pierwszym oddziale koncertu uwerturę uroczystą Beethovena, w drugim wesele Figara, Mozarta. Rzadko słyszeliśmy te dwa utwory przez orkiestrę z równą dokładnością wykonane. Jest i z tej strony łatwość, ku dokonaniu zamiaru utworzenia towarzystwa muzycznego, w którymby przy pomocy tak dobranej orkiestry, częściej talenta naszych rodaków i rodaczek mogły z korzyścią występować. Policząc koncert ten do szczęśliwych wydarzeń w naszej prowincyi i do miłych wspomnień, łączymy z tém życzenie, aby towarzystwo muzyczne w Poznaniu zawiązanem zostało.

Rycina wyobrażająca Głowackiego. — Odgrzebywać narodowe pamiątki, przedstawiać je w rozmaitych postaciach, wiązać tym sposobem przeszłość z terażniejszością, jest rzeczą pożyteczną, i u nas konieczną. Kto był Głowacki, wiadomo powszechnie. Rycina przypominająca nam tego człowieka ludu, wyobraża go stojącego na wiedzie; jest on zadumany, okryty chłopską krakowską sukmaną, oparty na kosie. W takiej postaci miał go ująć i odrysować pod Raclawicami, Norblin, znakomity malarz francuzki. Nasz młody artysta Roman Postępski, przeniósł udzielony mu szkic na kamień. Ryciny tej nabyć można w Paryżu u Jokisza, rue St.-Marguerite-St.-Germain No. 25. — Cena egzemplarza frank 1 cent. 25. — kolorow. fr. 3.

Po sukniach z obcisłymi rękawami i grypie nie masz modniejszego w Paryżu nad magnetyzm. Stał się on trudną do opisania namiętnością. Każde towarzystwo posiada swego magnetyzera i jasnowidzącą, i o niczem innem nie rozmawiają, jak o cudach przez nich dokonywanych. Każda piękność chce się tam magnetyzować i nie masz korzystniejszego i przyjemniejszego zatrudnienia w Paryżu na teraz, nad godność magnetyzera.

Statek parowy »Prezydent,« który, jak wiadomo, od Kwietna naprózno jest oczekiwany w Anglii, miał na pokładzie swym syna księcia Richmond. Matka, jak donoszą angielskie gazety, postradała zmysły z obawy o syna swego i dzień i noc czeka na niego u okien swego pałacu.

M O D Y. — Paryż, dnia 30. Czerwca 1841. W tym roku w negliżach nawet upatrujemy coś zalotnego. Wszystkie kapelusze na ranne wzięcie, nie wyjmując pojedynczych, są ładne i zdobne. Kapelusze słomiane są w tym roku droższe niż dawniej. Nie znamy innej rzeczy, co by się damom tak długo podobała; kapelusz słomiany wraca co wiosnę, zawsze nowy, zawsze lubiony, często wstążkami, często kwieciami i piórami strojny. I kapoty krepowe nie mniej są noszone. Kapota z białej krepy bez wystroju jest prawie negliżem, zdobna zaś kwiatami, uchodzi za strój. Na ryżowych kapeluszach często widzimy malenkie kwiaty, przedzielone wstążkami.

Starają się teraz szlafroczyki z sukna kaszemirowego wprowadzić w modę, podszywają je tegoż koloru jedwabiem, dając im szerokie wyłogi. Najpiękniejsze szlafroczyki na poranek, robią z ida-kitajki i osadzają mnóstwem guzików. Pasamony i sznury także są w modzie.

W miastach jedwab stanowi w sukniach przewagę. Widziemy wiele pekinów w pasy i rozmaitym cieniem lśniących, do tych ubiorów noszą kapelusze włoskie o dwóch owisłych po ramiona piórach.

Wycięte canezous zasługują także na pochwałę, nazwać ich przecie ustaloną modą nie można. Także się ma i z parasolikami z haftowanego muślinu, które różowo lub niebiesko podszywają, orzucając je koronkami.

Długie szale i opony z muślinu haftowanego i podszytego, są także nowością, która tylko w świetnym ekwipażu i do bogatego ubioru być może użyta.

Koronki tego roku jeszcze więcej niż w latach poprzednich się pomnażają. Prawie wszystkie białe szlafroczyki niemi orzucono, równie jak i półzasłony większa część dam nosi, bo mają w sobie coś tajemniczego, co się podoba i stroi.

Muśliny kolorowe, jedwabie w cienie, wschodnie fulardy, organtyny noszą tylko przy pewnych zdarzonych okolicznościach.

Najwięcej ukazują się gładkie staniki, jedne na prost zapinane, drugie à la Sevigné zmarszczane.

Obcisłe rękawy ciągle się utrzymują, nawet damy im przeciwne nie śmia ich całkiem zarzucać. Dla tego przez szereg zmian i przejść spodziewają się dojść do celu i poczynają od średnio buchastych rękawów (gigot).

Oszycia sukien są zawsze bardzo rozmaite: szerokie brzegi, fałdy, ukosy, falbany, fręzle i t. d.

Suknie fulardowe bywają dwiema wielkimi fałdami lub ukosami osadzone, u których znajdują się fręzle. Staniki u nich gładkie lub w fałdy à la Niobe ułożone, nie opatrzone w przepaskę na strój, na wzięcie zwyczajne atoli z przepaską. Rękawy w całej długości w bufki ściągane bywają.

Suknie fantazyjne na półstrój wyrabiają najczęściej z balzorine i bareżu. Stanik u nich à la vierge lub à la Niobe, a suknia o dwóch powłokach, lub o jednej powłoce, trzema fałdami osadzonej; rękawy zaś, tak zwane prababki, t. j. półdługie lub w całej długości w bufki ściągane.

Najnowsze mody w tych krótkich słowach zawrzemy. Kształt szlafroczyków powszechnie ten jest przyjęty, który kibić wydatnie podnosi. Rękawy według tego kształtu i wystroju są rozmaite. Falbany noszą, ale tylko na sukniach z lekkich tkanin, do sukien z ciężkiej materii fręzle. Najmodniejszemi są gładkie lub lśniące w pasy, w kratkę, grosdenaple. Fulardy bardzo są lubione. Na pierwszeństwo zasługują z tłem białym, po którym rozsiane małe lilie. Zdaje się, iż upodobanie w welnianych tkaninach utrwali się.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz ryżowy zdobny wstążkami i czepeczkiem kwiecistym pod obwodem. Suknia jedwabna, u dołu w trzech działach haftowana i fręzłą oszyta. Rękawy obcisłe. Szarfka kaszemirowa, pstro bramowana.
2. Kapelusz z haftowanego muślinu, strojny małemi piórami. Suknia organtynowa. Chustka z poux de soie, haftowana kolorowym niekreconym jedwabiem.
3. Kapelusz tulowy z półzasłoną, zdobny kwieciami. Suknia jedwabna we wzory. Stanik, jak i przód powłoki orzucony koronką. Rękawy z samych bufek.
4. Kapelusz tulowy, w bufki, strojny gałązkami kwiatu. Suknia jedwabna w kształt tuniki, obaftowana aż ku dołowi w kolorze sukni. Rękawy obcisłe, stanik gładki z peleryną haftowaną.
5. Męzki ubiór. Frak z długimi, okrągłemi i szerokimi połami. Kołnierz szalikowy. Biała kamizelka. Krawat i pantalony białe.



L. Proutier. sc.

